Nr. 35. We Lwowie dnia 30. sierpnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Słowacy na Węgrzech.

W ostatnich czasach sprawa niemadziarskich narodowości Węgier znowu poczęła zaprzątać uwagę publicystów i polityków. Protesty Rumunów, Serbów, Chorwatów, Słowaków i Rusinów przeciwko obchodowi tysiącletniej rocznicy istnienia państwa węgierskiego odbiły się głośnym echem nie tylko w prasie słowiańskiej, ale również i w zachodnio-europejskiej. Dzięki energicznej inicjatywie Rumunów odbył się cały szereg manifestacyj, skierowanych przeciwko Węgrom, a świadczących, że państwo węgierskie nie jest krajem madziarskim, czego chcą *per fas et nefas* dowieść szowiniści węgierscy. Protesty tych narodowości u nas powinny budzić najżywsze współczucie, ponieważ na własnej skórze od stu lat doświadczamy błogich skutków polityki wynaradawiania, powinny też zachęcić nas do bliższego zapoznania się z położeniem tych narodowości, które temuż samemu poniekąd losowi co i my, uległy. Jedna zwłaszcza z narodowości niemadziarskich Węgier powinna byłaby budzić nasze zaciekawienie chociażby ze względu na bliskie pokrewieństwo etniczne z nami. Mamy tu na myśli Słowaków, najbliższych naszych sąsiadów zakarpackich.

Słowacy zamieszkują Węgry północne, począwszy od granic Moraw, (których część wschodnia również jest etnograficznie słowacką) do Szaryskiego Potoku, gdzie zlewają się z Rusinami. Na północy tudzież na Spiżu i na Orawie Słowacy zlewają się z Polakami do takiego stopnia, że nie ma najmniejszej możności dokładnego określenia, gdzie się kończą wsie słowackie, a poczynają polskie. Wskutek kilkuwiecznego oddziaływania wzajemnego obu tych szczepów pobratymczych miejscowe gwary ludowe tak się upodobniły i tyle zapożyczyły pierwiastków sąsiednich, że dziś najbieglejszy etnograf nie dałby sobie rady z umiejętnem rozklasyfikowaniem ludności w pasie granicznym. Sprawę tę jeszcze bardziej komplikuje prawie zupełny brak świadomości narodowej wśród Polaków spiskich i orawskich, którzy sami siebie chętnie nazywają Słowakami.

Słowacy zamieszkują zbitą masą piętnaście stolic (komitatów) Węgier północnych. Oprócz tego kolonje słowackie są gęsto rozsiane po całych Węgrzech aż do Baczki i Banatu. Np. w okolicach samego Pesztu znajduje się dość znaczna liczba wsi słowackich

Język słowacki, czy też narzecze słowackie, ponieważ większość filologów odmawia mu prawa do mianowania się językiem samoistnym, przedstawia ogniwo, łączące trzy języki słowiańskie: czeski, polski i (mało) ruski. Dzieli się na znaczną ilość gwar, które są mniej lub bardziej zbliżone do języków sąsiednich szczepów pobratymczych. Polak bez żadnej trudności zrozumie Słowaka. Zrozumienie narzecza słowackiego ułatwia jeszcze sposób, w jaki Słowacy mówią. Mianowicie przeciągają prawie wszystkie zgłoski wyrazów i mówią powoli. Zresztą Słowaka tak samo rozumie Czech i Rusin. Pod względem leksykologicznym narzecze słowackie najbardziej zbliżone jest do języka czeskiego:

Samodzielna literatura narodowa Słowaków istnieje zaledwie od stu lat z górą. Od wieku XV-go aż do drugiej połowy przeszłego stulecia Słowacy żyli wspólnem życiem kulturalnem z Czechami. Ich językiem literackim był czeski, który też do dnia dzisiejszego panuje w inteligencji słowackiej na Morawach. Literaturę czeską wraz z językiem czeskim i protestantyzmem zaszczepili na Słowaczyźnie w połowie XV wychodźcy husyccy.

Aczkolwiek czeski język literacki wywarł wpływ wielki na narzecze ludu słowackiego, jednakże nie zdołał go wyprzeć i kiedy pod

koniec XVIII stulecia począł się ruch, znany pod nazwą odrodzenia słowiańskiego, nie ominął on i Słowaków. Język czeski, którego używała w literaturze nader nieliczna inteligencja słowacka i który wszedł do liturgji Słowaków-protestantów, był dla mas ludowych językiem martwym. Tymczasem i na Słowaczyźnie tak samo jak i wszędzie inteligencja ówczesna pod wpływem nowych idej poczęła coraz więcej uwagi poświęcać ludowi i zapragnęła literaturę masom ludowym uprzystępnić. W tym celu wprowadziła do literatury język ludu. Inicjatorem tego kierunku był ksiądz Antoni Bernolak (ur. 1762).

Bernolak wywarł wpływ bardzo silny na współczesnych i wywołał ruch znaczny wśród inteligencji słowackiej, przeważnie w sferach duchowieństwa.

W r. 1792 zorganizowane zostało pierwsze »Słowackie towarzystwo naukowe« w Tarnawie z filjami w innych miastach słowackich. Dokoła Bernolaka kupią się pierwsi narodowi pisarze słowaccy: w ciągu dość krótkiego czasu ukazuje się znaczna ilość dzieł, pisanych po słowacku i w ten sposób poczyna rozwijać się nowa literatura słowiańska.

Literatura ta rozwijająca się wyłącznie wśród Słowaków-katolików, wydała znaczną ilość uczonych i popularnych prac teologicznych, dużo rozpraw treści filologicznej, trochę książek z zakresu agronomji i gospodarstwa wiejskiego dla ludu, ale wśród pierwszych pisarzy słowackich nie było ani jednego poety lub powieściopisarza.

Poezja słowacka powstała wśród Słowaków-protestantow, którzy pędzili życie całkiem samodzielne, nie mając prawie żadnych stosunków ze swymi rodakami wyznania katolickiego. Wpływ języka czeskiego był u Słowaków-protestantów daleko silniejszy, ponieważ oni to byli spadkobiercami wychodźców czeskich z doby husytyzmu. Oni pielęgnowali czeskie tradycje Husa i czcili głęboko język czeski, na którym była przetłumaczona biblja kralicka i który rozbrzmiewał w ich kościołach.

Ale i na nich oddziałał wpływ Słowaków-katolików. Za przykładem tych ostatnich i wśród nich powstają stowarzyszenia pielęgnujące i rozwijające język ludowy, poczynają ukazywać się dzieła w języku słowackim, zakładają się pisma perjodyczne itd. Jednakże pomiędzy Słowakami-katolikami a ich współplemieńcami-protestantami wciąż jeszcze nie istniały żadne stosunki ściślejsze. Gałęzie jednego i tegoż szczepu, rozdzielone religją, przedstawiały dwa obce sobie, niekiedy wrogie obozy.

Aczkolwiek w końcu XVIII-go i w pierwszych dziesięcioleciach bieżącego wieku słowacka literatura narodowa wzbogaciła się w dość znaczną liczbę utworów, jednakże tradycje dawnej łączności literackiej z Czechami nie zamierały i znaczna część Słowaków pisała po czesku. Słowaczyzna dała nawet literaturze czeskiej dwóch pisarzy, których sława rozpowszechniła się nietylko poza granice ich kraju ojczystego ale i całej Słowiańszczyzny. Mamy tu na myśli Jana Kollara, twórcę »Córy Sławy« i historjozofa Szafarzyka. Tym dwóm imionom zawdzięcza Słowaczyzna swój rozgłos. Idea »wzajemności słowiańskiej«, szerzona przez Kollara, wywarła wpływ ogromny na rozwój świadomości narodowej drobnych ludów słowiańskich. Co prawda, Kollar nie był zwolennikiem literackiego separatyzmu Słowaków, ale działalność jego, nawet pomimo jego woli, bardzo sprzyjała rozwojowi samodzielnej literatury słowackiej. Zbiór sonetów Kollara, wydany pod nazwą »Córy Sławy« (1824) rozbudził w sercach Słowaków nietylko entuzjastyczną miłość względem mitycznej Słowiańszczyzny, ale i szczerą chęć pracowania na korzyść własnego narodu. Idea demokratyczna przenikająca utwór Kollara, przyjęła się wśród pochodzącej z ludu inteligencji słowackiej i dała obfite owoce.

Kollar, jak wiadomo, uznawał tylko cztery literatury słowiańskie: polską, rosyjską, ilirską i czeską. Według niego każdy Słowianin powinien znać cztery główne języki słowiańskie, ażeby módz korzystać z owoców życia duchowego całej Słowiańszczyzny, która jak mu się wydawało jest czemś jednolitem, całościowem. Tem niemniej jednak Kollar pierwotnie niezaprzeczał prawa do rozwoju samodzielnego żadnemu z narzeczy słowiańskich; nie wierzył tylko, ażeby literatura drobnej narodowości mogła dojść do jakiegoś znaczenia i współzawodniczyć na polu cywilizacji z literaturami wielkich narodów. Wskutek tego sam Kollar pisał po czesku. Ale język czeski jego utworów nie odznaczał się czystością wskutek wielkiej ilości domieszek słowackich. Naśladowcy Kollara, pomimo, że byli przejęci jego ideami, czuli, że język czeski, którego znajomość czerpali z książek, nie może im zastąpić języka ojczystego używanego w życiu codziennem. Utwory prozą jeszcze przez czas dość długi wychodziły po czesku, ale już pierwsi poeci słowaccy używali języka słowackiego. Przykład Kollara ich nie pociągał za sobą. Holly, Chalupka i inni poeci słowaccy konsekwetnie używają swego języka ojczystego, chociaż niezupełnie jeszcze poprawnego.

Jednakże język czeski, pozbawiony praw obywatelstwa w poezji słowackiej, wciąż jeszcze odgrywał rolę wybitną w życiu kulturalnem narodu słowackiego. Wszystkie czasopisma były drukowane jeśli nie po czesku, to w każdym razie i nie po słowacku. Język pism tych był dziwną mieszaniną czeskiego języka literackiego z formami, wyrażeniami i zwrotami, zaczerpniętemi z różnych gwar słowiańskich. Był to żargon bardzo podobny do »jazyczja« ostatnich mohikanów moskalofilskiej partji w Galicji.

Zwrot stanowczy ku czystemu językowi ludu nastał dopiero w piątym dziesiątku wieku bieżącego, kiedy na arenę literacką wystąpiła

trójca reformatorów: Ludwik Sztur, Józef Hurban i Michał Hodża.

Popierany przez swych przyjaciół Ludwik Sztur stanął w obronie czystego ludowego języka słowackiego, czem zniechęcił ku sobie starsze, bardziej konserwatywne pokolenie. Sztur wydał w r. 1846 w Preszburgu broszurę »Narzecze słowackie i potrzeba pisania w tem narzeczu«. W pracy tej przytoczył cały szereg dowodów na korzyść samodzielnego rozwoju języka słowackiego. Najgłówniejszym dowodem był, ma się rozumieć ten, że lud słowacki słabo rozumie czeski język literacki, dostępny chyba dla inteligenta. Sztur powoływał się na Rosjan, Serbów i Bułgarów, którzy tak samo wprowadzili do literatury swe narzecze ludowe, zarzuciwszy cerkiewną słowiańszczyznę, która miała dla nich to samo znaczenie, co język czeski dla Słowaków.

(D. c. n..) *Leon Wasilewski.*

Panowie Wielopolscy w Krakowie.

Niektóre epizody z przeszłości tej rodziny.

(Ciąg dalszy).

PRZEKUPSTWO.

Syn tego kanclerza — spiskowca przeciw Sobieskiemu, F r a n c i s z e k W i e l o p o l s k i przez Sobieskiego, który dobrodziejstwami myślał rozbroić wyrodne plemie r. 1688 mianowany starostą krakowskim — pierwszy z rodu Wielopolskich margrabia, ciężko zawinił względem Polski i zhańbił się brzydkim czynem — p r z e k u p i o n y bowiem poddał zamek krakowski Augustowi elektorowi saskiemu późniejszemu Augustowi II, od którego rozpoczął się upadek Polski, przyjaźnią tego Augusta z Moskalami sprowadzony.

W dziele »Dzieje Augusta II. przez księdza Parthenay str. 71. i w Bizardiera polskiej edycji str. 156. czytamy:

»August nie miał jeszcze w swojej mocy zamku krakowskiego. Pan Wielopolski był starostą na Wawelu. Oświadczył Sasom, że się nie podda, bo z urzędu swojego powinien otworzyć zamek li tylko dla króla obranego przez cały naród. Pomimo kilkakrotnego wezwania, Wielopolski okazał się nieugiętym, groźb się nie lękał, namów nie słuchał. Próbowano skłonić Wielopolskiego postrachem, a że się nie udało — więc podarunkami. August darował naręczniki (bransolety) starościnie i 5.000 talarów wyliczył w gotowiźnie staroście. Hojnością tą ujęty, Wielopolski poddał natychmiast zamek, i zapomniał o swoich powinnościach«.

(Wprawdzie później, gdy go snadź sumienie ruszyło, oddał te 5.000 talarów klasztorowi kamedułów w Szańcu) (ob. Zarenicza — opis klasztoru).

SPRZENIEWIERZENIE SIĘ.

O tymże samym Franciszku Wielopolskim pierwszym margrabi — w kronice Dominikanów krakowskim jest wspomnienie — przytoczone w fejletonie »Czasu« — z r. 1863, a później w osobnej odbitce wydane przez Józefa Mączyńskiego p. t. »Wiadomości historyczne o cudownym obrazie N. Marji P. Różańca Św. w kościele OO. Dominikanów. Czytamy tam na str. 44, co następuje.

»O człeku, co raz zawini, zawsze źle ludzie rozumieją, choć nie on byłby krzyw, przecież nań padnie to mniemanie. Jest faktem niezaprzeczonym, że krakowski starosta, Franciszek Wielopolski, już raz w bezkrólewie po Janie III. mając w swej pieczy oddany w obronę Zamek krakowski, wpuścił weń przybyłego do Krakowa elektora saskiego. Wpuścił zaś po kilkudniowej frymarce, gdy mu tenże dał za tę usługę pięć tysięcy talarów, a żonie dał za pośrednictwo bransoletę, sadzoną niepospolitej wielkości djamentami. Źle i bardzo źle, kiedy tak zamożnemu panu złota szwajca mury przebija. (Wedle Lindego złota szwajca — oznacza przekupstwo).

Miano też temu Elektorowi, a nam dziś panującemu królowi, za nierozsądne a złe, bo choć dla niego wtedy sprzedał się Wielkopolski, toć królowi należało, jak zwyczaj od wieku jest, brzydzić się takim zdrajcą i nienawidzić człowieka bez wiary. Tymczasem ten król August II. zaszczycał go nawet swojem zaufaniem; i tak, gdy zwyciężonym był przez Karola XII., króla szwedzkiego, pod Kliszowem, i przechodził za Wisłę z wojskiem, wtedy opuszczając Kraków, zdał obronę miasta Wielopolskiemu.

Jakże się sprawił?

Przybył Karol, król szwedzki, z wojskiem ponad Wisłę i przeprawił się bez przeszkody w dniu 11. sierpnia we czwartek, i stanął pod murami Krakowa. Tu niebawem z Wielopolskim wdał się w jakieś umawiania*), podczas których, czy to przez oszukanie, czy wytargowanie się z tym panem starostą, wojsko szwedzkie rozbroiwszy podstępnie straż bramy Grodzkiej, dostaje się do miasta i do zamku; a to jeszcze z nadchodzącą nocą. Co się działo w owej strasznej chwili... zajęty Kraków bez kapitulacji łu-

*) Wezwał Wielopolskiego do siebie i Wielopolski, nie zważając na to, że komendant zamku nie ma prawa sam wychodzić poza mury, udał się przez Grodzką bramę do Karola XII., i razem z nim i z wojskiem szwedzkiem, w ślad idącem — wrócił na Zamek.

pili Szwedy nielitościwie... Czyli temu nagłemu bez kapitulacji wydaniu Krakowa, a stąd tegoż ruinie i zniszczeniu był winien starosta Wielopolski, niech świat osądzi. Ja tylko to zapiszę, iż zaraz jednogłośnie głoszono, że sprawcą tych nieszczęść jest już raz uznany za zdrajcę pan starosta Wielopolski, i że on znów w pięć lat po pierwszej sprzedaży, teraz sprzedał Kraków królowi szwedzkiemu...»

»... po roku 1715 przybył do Reformatów na kaznodzieję O. Karol Frezer (ob Jaroszewicza Matką Świętych Polska. 19. czerwca) Na jednem z kazań w kościele swojego zakonu w odpust św. Franciszka, biorąc osnowę ze słów Pisma św.: Błogosławiony mąż, który za złotem nie udał się, ani ufał w pieniądzach i skarbach.. przedstawił na odwrót wieczne potępienie tych, którzy swoje pieniądze i skarby nad wszystko cenią, choćby one nabyli na drodze występku lub okupem popełnionych zbrodni. I że taki ich nabytek stanie się jakoby iskrą zapaloną, rozniecającą pożar nieutłumiony wśród nawet potomków, tak, że błąkać się będą bez imienia..»

»... (Rajca Bem) ...będąc na owem kazaniu, widział, jak znajdujący się tam pan starosta Wielopolski, słuchając tego kazania, kręcił się jakby siedział na rozpalonem żelazie i widział na obliczu jego coś takiego, co przedstawiało srogie katusze sumienia...» (Dalej kronikarz opowiada, jak po tem kazaniu, Wielopolski posłał do Dominikanów, żądając miary na sukienkę do cudownego obrazu.) »W rok potem odebrał ks. promotor kaplicy Różańcowej od Wielopolskiego onę sukienkę, a była z aksamitu koloru lazurowego, a po niej gęsto miotane kwiaty perłami sadzone. Była taką ale już dziś nie jest, bo gdy w nią pierwszy raz przybrano Najśw. Pannę, a na ołtarzu zapalono świece, jedna z tych przechyla się na obraz i zapala ową sukienkę i w mgnieniu oka cała goreć poczęła. Nie szło tu nikomu o sukienkę, ale o cudowny obraz, aby nie zgorzał. Lecz uznać trzeba, że łaska Boga nowy cud zdziałała, ogień nie tknął się obrazu, po mimo opalenia górnej listwy. Bezczeszczących cnotę i wiarę na ziemi niech..»

Na tych niedopowiedzianych słowach zamyka się powyższy opis (str. 51).

I my na zakończenie tego rozdziału powtórzymy słuszne słowa margrabiego Zygmunta Wielopolskiego — że uczucie naturalne wzdraga się zaglądać w oczy wstrętnej prawdzie historycznej!...

MARGRABSTWO.

Może czytelnik powie: cóż za związek pinczowskiego Wielopolskich margrabstwa z Krakowem? Związek ten, że to margrabstwo powstało z pieniędzy biskupstwa krakowskiego. — Uposażono hojnie kościoły nie na to, żeby duchowni używali dóbr kościelnych dla spanoszenia swych rodzin.

Biskup Myszkowski obciążał bardzo swoje sumienie nepotyzmem. Siedząc na biskupstwie krakowskiem lat 14. zebrał miljony i poskupywał wielkie dobra, i wszystko to oddał swoim synewcom, a dla katedry krakowskiej »z g o ł a n i c« nie dał, mówi Łętowski biskup (II. str. 144). Siarczyński (1.339) pisze: »bratankom swoim Zygmuntowi i Piotrowi zostawił 8,000.000 zł. Chroberz zamek z włością obszerną, Pinczowske i Mirowskie*) dobra w krakowskiem, Oryszów i Szymanów w Mazowszu, Wieprz w Szląsku itd, (wszystko to nabyte za pieniądze biskupstwa krakowskiego, bo on sam nic nie odziedziczył). Winionym jest od współczesnych, że był najwięcej zajęty spanoszeniem swej rodziny i chciwym w zgromadzeniu zbiorów, nie zawsze z czystych źródeł czerpanych. I Kątski w wierszach swoich o biskupach krakowskich też łatkę chciwości im przypiął. A co bardziej, biskup Łubieński wspomina rzecz szkaradną o konwi srebrnej z talarami i mówi: »i ż n i e s p o d z i e w a s i ę, a b y o n e b o g a c t w a b i s k u p i e d ł u g o d o t r w a ł y w t y m d o m u«. Jakoż »mala parta« — tylko karę ściągnęła, ród cały Myszkowskich wkrótce do szczętu wygasł — a margrabstwo niedługo na Wielopolskich wrzeciono poszło. Oto taka była mutacja z nepotyzmu biskupiego powstałego margrabstwa:

I) Synowiec biskupa Zygmunt, pierwszy margrabia, miał trzech synów: Jana, Ferdynanda i Władysława; wszyscy poumierali bez męskiego potomka. II) Więc margrabstwo przeszło do innych Myszkowskich, z tych tylko dwóch braci, Stanisław i Józef, jeden po drugim byli margrabiami i także nie zostawili męskiego potomka, tylko córka Stanisława, Anastazja, wyszła 1-voto za Kota a 2-voto za Michała Jordana, wojewodę bracławskiego. Przeciw Jordanom, na których spadało margrabstwo, wystąpili z procesem Wielopolscy, jako pochodzący od Anny, córki Zygmunta Myszkowskiego, pierwszego margrabi. Proces z zajazdami, i napadami i rabunkami toczył się przez dwa lata i utrzymali się III.) Wielopolscy, mianowicie wyżej wspomniany Franciczek Wielopolski. Jordan (syn Michała i Anastazji Myszkowskiej), kasztelan wojnicki, przegrawszy proces, rzekł w trybunale: d e m a l o a c q u i s i t o t e r t i u s n o n g a u d e b i t h e r e s. I rzeczywiście przepowiednia się spełniła, gdyż po Franciszku nastąpił: 1) Karol † 1773, 2) Franciszek † 1809 i trzeci Jan Nepomucen; ten trzeci sam rozwiązał margrabstwo. Po długim procesie Aleksander Wielopolski, pochodzący z bocznej linji, uzyskawszy od Moskali potwierdzenie tytułu margrabskiego IV) czwarty rozpoczął szereg margrabiów. Po nim obecnie jest syn jego, autor wyżej przytoczonego listu, Zygmunt, po-

*) Nabył od Barziego Xiąż, i wystawiwszy tam pałac nazwał go Mirowem.

siadacz tylko trzeciej części pierwotnego margrabstwa.

Czyż nie widoczny tu palec Boży. W czyj tylko ród przejdzie to margrabstwo — zaraz wślad za tem wymiera – jakby dżumą zgładzony. Co dalej będzie — z tą sukcesją po biskupie krakowskim? czyli z tym majątkiem na biskupstwie krakowskiem uciułanym.

Zwracamy uwagę, że ten tytuł margrabiego nigdy w Polsce nie był potwierdzony. Potwierdzoną została tylko ordynacja Pinczowska. Gdy jednak bezprawnie w kancelarji sejmowej przy nazwie Myszkowskiego dodano tytuł margrabia, jeden z posłów postrzegłszy to, gdy pióra nie znalazł »p a l c e m w k a ł a m a r z u z m a c z a n y m m a r g r a b i e g o w y m a z a ł« (Siarczyński I., str. 341).

(Dok. nast.)

Na Sachalinie.

(PODSŁUCHANE PRZEZ CZTERY ŚCIANY)

(Ciąg dalszy).

IV.

O tak! odgadłam, przeczułam. Z tej ciemnej jaskini wyłania się i płynie ku mnie miłość świetlana. Wyraźnie, niezaprzeczenie! Co prawda, — jest to miłość sprzedajna, kupiona za hojne dary moje! Lecz bądźcie błogosławieni wy, co zechcieliście mi ją sprzedać i opleść jej kojącemi ramionami zbolałą duszę moją... Pożądałam jakiejbądź miłości, za jakąbądź cenę — i oto mam ją, mój skarb zaczarowany, mój kwiat paproci. Wybucha dziwna ta miłość entuzjastycznym i tryskającym nagle płomieniem. Ale stos ten ofiarny wciąż płonie i płonie, podsycany przemijającym, lecz zawsze obfitym materjałem. Jedni umierają — drudzy wracają do swych kajdanów i swojej przeklętej pracy.

V.

»Za hojne dary moje«... Tak są one hojne. Poświęcenie me granic nie zna. Czuwam tak przy nich, jak mógłby czuwać tylko stworzony w najszlachetniejszej wyobraźni mądry i bezgranicznie dobry anioł. A tymczasem daleka jestem od prawdziwej dobroci — tylko spragniona gorącej ich wdzięczności, niewolniczo oddanych mi ich spojrzeń i wyrazów, nawet wzroku konającego miłośnie na mej twarzy. O często wzrok taki kona i często tu oni konają... A ja tymczasem... ja »święta siostra Anna« — cieszę się nawet wtedy, gdy uprowadzani z »raju« i od swego »anioła«, błagają jeszcze o zwłokę i ślą mi na pożegnanie smutne spojrzenia i rozpaczliwe znaki. Pierś moja przepełnia się wówczas nową świeżą, potężną rozkoszą. To ja... to dzięki mnie — to po mnie te żale!...

Czasami jednak i z moich chińskich ślepi grad jasnych łez się posypie. Ale badając ich źródło, widzę, że ono jest mętnem, niestety: płaczę, bo mi żal tego, co p o m n i e płacze. Gdybym widziała go płaczącym po innej, równie pomocnej mu istocie, możeby tylko głuchy zazdrośny gniew rozgościł się w mem sercu...

O aniele! dusza twa ma równie chińskie ślepie, równą harmonją budowy — i całą piękność niezrównaną ciała, które zamieszkuje! A jednak na twarzy tej mongolskiej, na przysadzistej i grubej postaci — spoczywają oczy pełne oczekiwania, ubóstwienia, błagalne, wdzięczne. Wcielają one w tę postać nadzieje swe, pragnienia, krótkie godziny spokoju i kradzionego szczęścia. Tak, to przecież prawda niewątpliwa! Kąpie się w tej atmosferze z równą rozkoszą, jak ongi w ciepłych falach owego pseudomorza, w złociste wieczory — sześcioletnia, pieszczona, szczęśliwa dziecina.

VI.

Jedna myśl tylko zaczyna nieznośnie mi doskwierać. Zdaje się, że siły moje, że mocne żelazne zdrowie, na które tyle liczyłam — nieco się chwiać zaczyna. Lecz nie dam się, nie dam zwyciężyć. Postaram się wzmacniać i krzepić na wszelkie sposoby. Wara od mego szczęścia! Nie pozwolę wydrzeć sobie skarbów zdobytych w tem piekle, z którego sobie raj zbudowałam, nie wypuszczę ich z ręki, chociażby całe legjony aniołów z ognistemi mieczami gnało mię stąd za fałsz i za podstęp. Bądź co bądź płacę za nie sowicie, po królewsku.

VII.

Jestem zazdrośną i chciwą. Podwajam się, potrajam przy chorych. Doktór Armer powiada, że dokazuję cudów wytrwałości i cierpliwości. On za to irytuje się i wyrzeka.

— Demoralizujesz pani ostatecznie te baby. Spychają one cały ciężar czuwania na pani znużone barki. Gdy się zbudzi, którą z tych bestyj do jakiejś nagłej posługi, ledwie ci ręki nie kąsa — tak je rozpieściłaś. Przecież tak długo trwać nie może — natura upomni się o swoje. Zmarniejesz pani, pozbawiając nas wszystkiego tego co nam dajesz!

Zaskarżył mię nawet poczciwiec przed naczelnym doktorem — i rozkazali mi oficjalnie spędzić dzisiejszą noc w mym pokoju.

Zasnęłam słodko i mocno do samego rana. Za to obudziwszy się — doznałam wielkiej goryczy. Skonał jeden z tych, któremu moja obecność wiele ulgi przynosiła. Gdy mi opowiedziano, że wołał mię uporczywie przed śmiercią, — wyrzucałam gorzko Armerowi jego despotyczne wy-

stąpienie. Odparł mi tylko z owym uśmiechem fachowego spokoju, szczególnie odrażającym u młodych lekarzy:

— Musisz się pani przyzwyczaić do takich zwykłych i naturalnych wypadków...

VIII.

— Może podtrzymać panu nieco głowę? wyciągnij też pan nogi swobodniej... łóżko dość długie... Doprawdy powinieneś mi pan pozwolić poprawić te poduszki, bo głowa leży za nisko. Wypij pan łyżkę tego wina... orzeźwi cię, całkiem tracisz pan siły. .

— Dziękuję pani.. bardzo mi dobrze... ja nic nie potrzebuję. . — szepce zaledwie dosłyszalnie. Gorzko się robi, gdy patrzy się na niego. Mój Boże! co ja z nim pocznę? — niepodobna przystąpić do tego człowieka z najprostszą usługą lekarską, najprostszem pytaniem. Za każdym razem zamyka oczy, by ukryć mnóstwo łez, co je zalewają. Jakieś extatyczne przeczulenle!... Płacze, cały się kurczy i drży na całem ciele. Dziwne objawy delikatności uczuć w człowieku, co zabił żonę, kochanka jej i sługę, która chciała przeszkodzić zbrodni. Zabił wprawdzie nagle, w niespodzianym, szalonym spazmie rozpaczy i wściekłości, gdyż kochał namiętnie i nic nie podejrzewał.

IX.

Cóż za pacjentów mamy tu teraz kilku jednocześnie! Dotąd oswoić się z nimi nie mogę, dotąd mię mrowie przechodzi, gdy zbliżam się do jednych, — litośne drżenie, kiedy podchodzę do drugich. Cichy, zgnębiony nieszczęśnik — przestał już się krępować i kryć ze swemi łzami gdyż tyfus coraz okrutniej go opanowywa. Jest dzisiaj całkiem nieprzytomny. W nocy bredził o najzwyklejszych sprawach z przeszłości swojej tak jak chory filister w wygodnym domu przy najczulszej opiece.

Przemawiał do żony:

— Maniu, kochanie moje, — daj mi pić, bo głowa okrutnie boli. — Złapał nawet rękę »Mani« i pocałował, gdy podałam mu napój. A potem dodał:

— Połóż się duszko, nie zamęczaj się — to bagatela, to wkrótce już przeminie.

Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby dla niego wszystko »przeminęło« naprawdę. Żal mi biedaka głęboko.

Jest tu także zbrodniarz tak wstrętny dla mnie, jak żaden inny dotąd — wyrafinowany kat koniokrada. Spadł z rusztowania przy budowie rządowych budynków i mocno się potłukł. Gdy robiono mu opatrunek, może w istocie niezbyt delikatnie i ostrożnie, — wpadł prawie w szał z bólu -- i groził, że powybija zęby tym, co, zbliżą się do niego. Doktor kazał go ubezwładnić — rozpoczęło się szamotanie, dziki ryk bólu... Nie mogłam wytrzymać — rzuciłam się ku niemu i wdałam się w to energicznie. Uprosiłam, żeby mi dano kwadrans czasu na pokonanie uporu tego człowieka i żeby mi pozwolono zrobić opatrunek wraz z felczerem. Doktor wzruszył ramionami i skinął niechętnie głową na znak zgody, poczem oddalił się do innych.

Z litością całkiem... odruchową, pełną wielkiego wstrętu, zbliżyłam się do tego osobnika, który od pierwszego już spojrzenia zastanowił mię niezwyczajnym wyrazem dumy i jakiejś pogardliwej pewności siebie... Na jakiej, ciekawa jestem podstawie, potworze okrucieństwa? Na pozór nieszczęśliwa, lecz pełna patryarchalnej godności ofiara. Wygląd pokrewny temu, jaki tu mają częstokroć prawdziwe ofiary idei. — Przełożyłam mu oschle, lecz rozsądnie i starannie konieczność poddania się środkom lekarskim — i ofiarowałam się też zrobić opatrunek możliwie najdelikatniej, oszczędzając bólu.

— Zapewne siostra Anna: — zapytał z napół drwiącem, napół boleśnem skrzywieniem twarzy. — Na raj pragniecie zarobić? Nasłuchałem się o was wiele od tych zbójów. Dziwaczna chęć, naprawdę, babrać się przy tem bydle! Do raju moglibyście się dostać w inny sposób, nie leząc w to błoto!

Uśmiechnął się ironicznie i dał znak jakoś dziwnie rozkazująco, żebym przystąpiła do opatrunków.

(C. d. n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*

Ze statyki i dynamiki ludowej.

(podług obserwacji czynionych na góralszczyźnie).

(Ciąg dalszy).

Sabała był mistrzem w indywidualizowaniu. Pod Czarnym Dunajcem opowiadają mi o dobrym duchu, pokutującym na hali, co zabierał z wieczora owce z pod szałasu, pasał gdzieś przez całą noc, a nad rankiem do podoju zjawiały się znów one wszystkie. Kiedy szedł z owcami, śpiewał duch jakby się żaląc:

Pase-m ci ja pase-m
Te cudze owiecki:
Ani ja portecek,
Ani ja cuzecki.

Gdy mu dano jedno i drugie, znikł bez śladu. Sabała tak to opowiadał: *)

---

*) podajemy podług spisania Witkiewiczowego »Na Przełęczy«.

»Miałe-k dziadka, co bacował; bogobojny człek był, Boga za Boga miał, juści miał na upłazie halom, nad Kościeliskom. I, co się nie zrobiło: zajęło mu c o ś te owce. Przyndzie wiecór — zajmie, a na świtanie do dojenia som wsyćkie i straśnie dobrze doiło; zaś kiej z temi owcami, sło, to śpiewało:

Ani ja portecek, ani ja cuzecki,
Kiej se musem paść te cudze owiecki itd.

Być może, iż pierwsza myśl tego utworu, albo mówiąc językiem symbolistów i tatrzaństwa — pierwszy realny obraz tego przedmiotu odczuty został lub powstał u dziadka sabałowego, a względnie u samego Sabały, a dopiero od niego przeszedł ku Czarnemu Dunajcowi. Ale mogło się stać i odwrotnie: istniejącą oddawna klechdę przyjął Sabała za swoją i po swojemu ją przetworzył. Obie możliwości przemawiają wiele za zdolnością górali do różniczkowania, a druga nadto za łatwością personifikowania się i tego niezwykłego talentu indywidualizacyjnego, którym ten stary tatrzański pieśniarz i filozof pociągał ku sobie ludzi różnego wieku, gustu i wykształcenia. Wiele z jego piosnek, sentencji, opowieści prawdziwych lub fantastycznych były przez niego samego improwizowane, ale więcej branych z istniejącego materjału i formy twórczości ludowej góralstwa, na których wszakże wyciskał tak potężne znamię zarówno ogólnej góralskiej jak i swojej własnej indywidualności, że je uważać można często za wzory idealne pierwszej, a zawsze za dowody jego bogatej twórczości i fantazji indywidualnej. Mimo ogólnych szablonów w pojęciach i formach, których się on trzymał wiernie, jeśli o kim, to o nim z całą słusznością powiedzieć należy: *le style c'est l'homme* — w najszerszem znaczeniu tego orzeczenia. On tak dalece był sobą, że nawet sam siebie powtarzać nie lubiał i nie mógł. Toż nigdy dwa razy jednej rzeczy nie opowiadał jednakowo; za każdym razem musiała być odmiana jeśli nie w treści, to niezawodnie w formie — w języku, w wyrażeniach, tej lub owej dosadności obrazowania, różnicach tonu i kolorytu. Ztąd też to pochodzi, że się go zawsze słuchało z jednakiem zajęciem; ale też i zmienność ta stawała się prawdziwem utrapieniem dla tych, którzy chcieli wypośrodkować jego manierę i uwiecznić dokładnie na piśmie utwory jego: wyniki obu tych usiłowań były *incompatibles* — wzajem siebie wykluczały, bo jak prawdę realną, która za każdym razem miała ton inny i płynęła z innego nastroju ducha, połączyć z typem tej prawdy, z prawdą artystyczną? Przez nakładanie jeden na drugi i odpowiednie kombinowanie fotogramów wielu osobników jednego rodu możeby się udało z czasem wypośrodkować wspólny jeden typ tego rodu. Na to jeszcze zgoda, bo tu w typie decydować będzie tylko profil, linja czysto fizyczna, a więc uchwytna i możliwa, do wypośrodkowania między dwoma lub wieloma różnemi. Skoro wszakże fotografja odbija wyraz twarzy tylko z danej jednej chwili, to przez skombinowanie wielu fotogramów jednej i tej samej osoby z różnych chwil jej życia lub usposobienia — czy się uda wypośrodkować wiek jej przeciętny lub przeciętny stan duszy, (o ile w ogóle jakikolwiek stan duszy odbija się na twarzy i w oczach), — bardzo wątpię, wydaje mi się to nie naturalnem, bo jak się duchowo nie da zespolić smutek z radością, boleść z rozkoszą zadowolenia, tak też i fizycznie dla każdego z tych objawów duchowych inaczej wibrują muskuły, a np. stan bierności i spokoju również nie jest ich kombinacją i wypośrodkowanym stanem, lecz tak samo samoistnym i swój specyficzny wyraz mającym, jak tamte dwa.

A portret przez dobrego i intelegentnego artystę wykonany? Bardziej odpowiada warunkom wypośrodkowania, ale choć w mniejszym stopniu nie odpowiada również wszystkim warunkom, bo pomijając nawet subjektywizm artysty, a więc te oczy indywidualne jego, któremi on patrzy i ocenia twarz i duszę malowanej przez siebie osoby, nigdy on wolnym nie będzie w zupełności od poddania się wpływom chwili bieżącej, danego w tej chwili wyrazu twarzy i usposobienia duszy, w przeciwnym razie portret jego będzie martwym i pozbawionym prawdy realnej, tj. tej która istotnie miała kiedykolwiekbądź miejsce i objektywnie i subjektywnie.

Ś. p. Dembowski, opracowując niektóre bajki Sabały*) postępował sobie w ten sposób, że po wiele razy — niekiedy w odstępach czasu dość znacznych — starał się wsłuchać w opowiadanie jednej i tej samej bajki, za każdym razem zapisywał ją starannie i następnie wszystkie odpisy zestawiwszy razem, skombinowywał z nich i wyciągał jeden wspólny, a raczej przeciętny odpis i ten dopiero uwieczniał, a drukował jako typowy, wypośrodkowany. Proceder to podobny do owego przypuszczalnego z fotogramami jednej i tej samej osoby w różnych fazach jej życia i usposobienia. Wiele może być w produkcie takiej roboty indywidualizmu sabałowego, ale nie mniej indywidualizmu Dembowskiego, zwłaszcza w usiłowaniach stworzenia czegoś przeciętnego i stałego lub typowego, normalnego wobec różnych i wielorakich opowiadań z tego samego przedmiotu.

Jak Sabała w opowiadaniach swoich coraz był odmienniejszym, mimo nawet własnych szablonów, tak też odmienność w podobnych razach tem łatwiej się przejawia między różnymi osobnikami, nietylko sąsiednich wiosek, ale nawet jednej i tej samej. Nawet często antropofonetyczne właściwości jednej gwary różniczkują się u róż-

*) które następnie drukował w »Wiśle« i jako odbitkę wydał osobno.

nych górali jednej i tej samej osady. Zdarza się często, że jeden i ten sam wyraz tak wygłasza i wymawia jeden góral, a inaczej drugi z tej samej wioski.

Jeśli tak daleko sięga indywidualizacja, to pytanie, czy wobec tego możliwą jest asocjacja, oczywiście nie doraźna, a stała i zorganizowana, tj: oparta na solidarności i karności?

Zamiast uciekać się do odpowiedzi teoretycznej, która w życiu społecznem niekiedy bywa zawodną, poszukajmy odpowiedzi naszej w tem samem życiu, w precedensach dotychczasowych żywota góralskiego.

(D. c. n.)

Przegląd pism.

Przegląd poznański tygodnik polityczny, społeczny i literacki Nr. 16 - 33; 1896.

II.*)

»Fałszowanie opinji« w społeczeństwie przez wsteczną prasę poznańską, zlot sokoli i walka toczona przeciw niemu przez prasę niemiecką, wyzysk robotnic stwierdzony przez ankietę wiedeńską, strejk pomocników malarskich w Poznaniu, kwestja solidarności poselskiej członków berlińskiego Koła polskiego, obrona stanowiska pisma wobec zarzutów Piotra Stromy wypowiedzianych w broszurce p. t. »Program Przegl. pozn.«, projekt stworzenia w dzielnicy poznańskiej stronnictwa demokratycznego mogącego zcśrodkować w sobie dążenia jak najszerszych kół przeciwników »ugody« i zorganizować ich do walki z konserwatyzmem koła polskiego, zakusy germanizacyjne na Szląsku górnym i poparcie ich przez zniemczałych Polaków, (których sylwetki kreśli M. Ocetkiewicz), dyskusja w parlamencie pruskim w sprawie ustawy małżeńskiej, niesłuszne wreszcie skarcenie przez ks. bisk. Stablewskiego proboszcza z Wonieśca ks. Bartscha za czyn patrjotyczny nie przekraczający kompetencji kapłana polskiego — oto szereg zagadnień i spraw, które poruszono kolejno w wstępnych artykułach wymienionych w tytule nrów. W tych to artykułach określa »Przegląd« zasadnicze stanowisko swoje w odniesieniu do najdonioślejszych zagadnień, obchodzących żywo społeczeństwo nietylko poznańskie, ale i wogóle polskie. Uzupełnieniem są luźne notatki w rubryce to i owo oraz wspominane już dawniej fejletony Sulli (dra Rabskiego). Tu to poświęca dr. R. serdeczne wspomnienie ś. p. Emilji Sczanieckiej oraz działalności literackiej znanego przyjaciela Polaków w literaturze niemieckiej H. Nitschmanna z powodu 70-ej rocznicy jego urodzin, na co jak i na życzenia przesłane przez redakcję odpowiada sędziwy pisarz ciepłym listem pomieszczonym również w łamach »Przeglądu«. Tu także dotknięto sprawy nieporządków w teatrze poznańskim pozostałych z czasów gospodarki ś. p. Dobrowolskiego, któremu również poświęcono bezstronnie wspomnienie. W jednym z późniejszych fejletonów wystąpił dr. R. z surową krytyką pism humorystycznych poznańskich i ich redakcji.

Z artykułów i rozpraw poświęconych literaturze i sztuce zwracają na siebie uwagę głównie następujące:

Adw. Bernard Chrzanowski drukuje odczyt swój wygłoszony w Poznaniu w marcu b. r. p. t. »Tęsknota za krajem w naszej literaturze«. Znajdujemy tu dalej sześć listów Moniuszki pisanych do Leopolda Matuszyńskiego († 1893) reżysera opery warszawskiej a wydanych z rękopismów, udzielonych redakcji przez syna adresata p. Bolesława M. Listy te pochodzą z lat 1857 i 1858.

J. Drwęski ogłasza szkic o pierwszym dramacie Ibsena p. t. Catilina. Leon Wasilewski zobrazowywa działalność wydawniczą ruskiego tow. naukowego im. Szewczenki we Lwowie. W. Gryf w »żalach krytykach« ubolewa nad przerażającem zmniejszaniem się u nas »liczby istotnych adeptów sztuki«, która staje się »drobnym wstrętnym handelkiem prowadzonym w widokach natychmiastowego zysku pod płaszczykiem szczytnych haseł i dążeń niepowszednich«, skarży się na »brak zupełny prawie wśród młodego pokolenia autorów, którzyby gromadnie zajęci byli urzeczywistnianiem jakiegoś wspólnie opracowanego ideału artystycznego«. Pesymistyczne acz słuszne i głębokie poglądy krytyka stara się nieco złagodzić Nibody w »kilku słowach« wywołanych sądami Gryfa a właściwie w nadziei oświetlenia ciemnej czeluści sypie do niej miałki węgiel. A. Drogosław omawia *Quo vadis* a Wł. Mickiewicz pisze z Paryża o »bardziej literackich niż osobistych« pamiętnikach Juliusza Levallois, sekretarza Sainte-Beuve'a. Z nazwisk poetów, którzy debiutują w *Przeglądzie*, wymieniam Jarogniewa, Wł. Sterlinga i Zygmunta Bytkowskiego.

W rubryce p. t. »sprawy ekonomiczne« pomieszcza p. Kazimierz Rakowski z Berlina rzecz o organizacji i reformie kredytu rolnego w Niemczech a jest tu także sylwetka i streszczenie poglądów ekonomicznych Leona Say'a († 21. kwietnia 1896).

»Szkole i wychowaniu« poświęcono artykuł o uniwersytetach ludowych w Wiedniu i Londynie, dwa inne o wychowaniu publicznem w Anglji a wreszcie dr. fil. Józefa Kodisowa pisze o prywatnych instytucjach oświaty ludowej w Ameryce.

Wiele artykułów *Przegląd* przedrukowuje z innych pism głównie z warszawskich: *Głosu, Prawdy i Przeglądu tygodniowego.*

Korespondencje wcale wszechstronne z Łodzi, Berlina, Wiednia, Paryża (W. Bugieła) i Warszawy. Nadto Aleksota w szeregu listów ze Lwowa omawia ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

J. A. Sierpniak.

*) Ob. „Tydzień" nr. 17. z kwietnia 1896.

Wiadomości bibljograficzne.

Ks. Dembiński Stefan. Rok 1846. Kronika dworów szlacheckich zebrana na pięćdziesięcioletnią rocznicę smutnych wypadków lutego przez . . . Nakładem autora Jasło. 1896. Str. 443.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.